№ 50. Warszawa, dnia 30 Listopada (12 Grudnia) 1889 r. Rok XIV

K. K. ZEITUNGS-STEMPEL

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

USPOKOJONY.

(z Tennysona).

Im człowiek dalej idzie życia drogą,
Ten mniej uskarża się na trud podróży,
Lecz nie dla tego, że pochód mniej nuży,
Że się bezpieczniej stąpa wprawną nogą,
Ale wie teraz, że już blizko końca:
Że się położy o zachodzie słońca.

—

Przecież za siebie w tył obraca głowę
I w dal przebytą pogląda z tęsknotą.
Widzi tam blaski jutrzenki różowe
I wschodzącego słońca łunę złotą,
Jak malowała krajobrazy życia
Przez świateł swoich czarowne odbicia.

—

Już-by nie wrócił tam nawet za cenę
Tego wszystkiego, co tu legło w pyle:
Na tę przeżytej przeszłości arenę,
Gdzie tyle tracił, gdzie przecierpiał tyle;
A przecież kocha nawet te zawody
Młodej miłości i nadziei młodej.

—

Kocha... jak skarby unosi wspomnienie
Tego, co ogniem przenikało łono,
Jak niegdyś ludziom na wieczności mienie
Mały pieniążek do grobu kładziono,
Chciałby wziąć z sobą to czem serce biło, —
Co tam zapałem młodych wierzeń było.

Aloizy Żółkowski.

(Ciąg dalszy).

Dla ucieleśniania ideałów czy wzorów wytwarzanych przez poetów i pisarzów dramatycznych artysta rozporządzać musi w zupełności środkami fizycznemi normalnej postaci człowieczej. Gdyby cała genialność Michała Anioła ześrodkowała się na artyzm sceniczny—Stwórca świata daremnieby się trudził, obdarzając twórcę *Sądu Ostatecznego* geniuszem: można być łokietkiem i bohaterem w rzeczywistości, ale nie na scenie. Musi też artysta wyćwiczyć i opanować doskonale środki swe psycho-fizyczne, jak oblicze wraz ze wzrokiem, głos i mimika, w których, pomimo całej ich zewnętrzności, czujemy nieustające działanie utajonej poza niemi siły wewnętrznej, sprawczyni i kierowniczki wszystkich umysłowo już występujących objawów. Siłę tę znajduje artysta we własnej duszy, a stanowi ją moc odczuwania i oddawania prawdy życia, rysowania takich kształtów, jakieby miało żywe człowieczeństwo, gdyby w świecie rzeczywistości żyło tak, jak mu poeta w świecie myśli żyć nakazał. Jeżeli artysta sceniczny w podstawianiu człowieka rzeczywistego, fizycznie żyjącego w miejsce wyobraźniowego — dojdzie już do takiej doskonałości, że gra jego staje się niejako bezwiednem wysnuwaniem treści złożonej w charakterze, sprawiając wrażenie niczem nieprzyćmionej, nieskażonej, niepodrobionej prawdy życia—wtedy mówimy o artyzmie wyższym, nieporównanym, a niekiedy nawet znajdujemy się w tem położeniu, że wrażeń swoich, odbieranych od takiej doskonałej sztuki scenicznej, nie zdołamy już w zupełności ująć w słowa bez pomocy pojęcia genialności. Wtedy też dostaje się artyście nazwa genialnego. Za co? Za to, że doskonale a stale, nie w jednej tylko roli, z nigdy niezawodzącą siłą, według metody, którą sam na świat sobie przyniósł, bierze w siebie, wdycha ludzi-ideały pomyślane przez autora i wprowadza w pełnię zjawiskową, w doskonałość życia, zespalającego myśl z ciałem, duchowość z fizycznością, ideał poety z dotykalnie żywą istotą.

Za taką też doskonałość wywoływanego złudzenia prawdy dostawała się Żółkowskiemu za życia jeszcze nazwa genialnego; nie każdy jednak miał odwagę tej nazwy używać, gdy mówił o ostatnim już filarze dawnej sceny warszawskiej. O wyrazy zresztą nie idzie, ale o czystość pojęć w nie przyodziewanych. Niepospolitym już jest darem samo to bogactwo, jaką daje postać, twarz, oko i wszystkie środki psycho-fizyczne; ale rzeczywiście już na wyżyny duchowych obdarowań wzbija się harmonijny rozum, wiedzący, jak z bogactwa korzystać, i ta doraźnie, błyskawicznie, bez rozumowania, jakby instynktowo działająca siła, która umie według wskazówek rozumu wykonać zawsze co potrzeba i nigdy więcej ani mniej. Właśnie i taki dobrze wiedzący rozum i taką dobrze działającą siłę posiadał w sobie Żółkowski, a stałe przymierze tych dwóch potęg wytwarzało w nim *intelligencyą artystyczną*, wyłącznie do wymagań sztuki ograniczoną, niedbającą o świat i wiedzę dalszą, mniej lub więcej ważną, mniej lub więcej dostępną a obowiązującą powszechność ludzi wykształconych. Wysoko wzbijała się w Żółkowskim ta intelligencya czysto-zawodowa, w pewnym tylko zakresie przez naukę i przykład innym udzielić się zdolna, a zresztą będąca, jakby utajony w ciele cieplik, wyłączną własnością tej indywidualności, w której się wyrobiła. Ale myliłby się ten, ktoby do samego tylko rozumu i popędu artystycznego, do środków postaci i obli-

cza — do wszystkiego, co w artyście było już zawsze, przed każdą nową rolą, gotowem, co w nim jakby na rolę czekało, pożądając strawy tworzenia, sprowadzał czynniki jego artyzmu: w tryumfach Żółkowskiego praca miała udział bardzo rzetelny, a znaczny. Ten z bożego daru artysta studyował role swoje długo, nawet przed lustrem; ale wszystkie te studya zostawiał w domu, gdy szedł do teatru: w sztuce jego nie było znać sztuki.

Chcąc dojść do takiego, w myśl Schillera, utajenia sztuki czyli sztuczności, potrzeba, tak, jak Żółkowski, role *tworzyć*, a nie *robić*. W tem tworzeniu ról, czyli ucieleśnień charakterów, wytwarzanych przez poezyą, satyrę i plastykę dramaturgiczną — przejawia się głównie owa zdolność artysty scenicznego, dla której wrażliwość nasza nie znajduje stosowniejszego wyrazu nad *genialność*. Gdy zwykły artysta stara się dobrze mówić i deklamować w tej scenie, dobrze znowu milczeć w innej, gdy zadanie swe i ambicyą powołania ogranicza do należytego wygłoszenia słów i wygrania gestów i mimiki wskazanej przez autora,—artysta wyższy, obdarzony już samoistną siłą twórczą, dopóty się nie uspokoi, dopóki mu obraz indywidualności ludzkiej w rolę daną zamkniętej nie stanie przed oczyma jako jednolita całość myśli, wrażeń, uczuć wewnętrznych i zewnętrznych ruchów, od początku do końca roztaczająca się w doskonałej harmonii składowych swych żywiołów i momentów i dająca się sprowadzić do jednej wielkości: duszy ludzkiej zindywidualizowanej w tę a nie inną postać. Artysta prawdziwy — a jest ich bardzo mało — musi rolę swą wyrozumieć i zrozumieć tak, jak ją rozumiał sam jej twórca; musi mu ona przed oczyma stanąć jako człowiek żywy, od pierwszego do ostatniego momentu w sobie zgodny, a wołający wielkim głosem o urzeczywistnienie w fizycznym już przejawie. Można być bardzo mądrym i bardzo uczonym; ale jeśli się nie ma tej szybkości i nieprzerywalności myśli, tego daru kapitalizowania wrażeń w obrazy stale utrwalone i odbijania tych obrazów na objektywie wyobraźni, - nigdy też nie dojdzie się do tego, żeby umysł żywemi barwami odmalował sobie ideał samego poety lub pisarza tworzącego dla sceny. A bez takiego malarstwa niéma wyższej sztuki scenicznej.

We wspomnieniach o Żółkowskim dziwnie mnie uderzyła zgodność dwóch piór, które absolutnie wiedzieć o sobie nie mogły, co napiszą, a oba wskazały jedno i tosamo znamię tej metody, jakiej się trzymał niezapomniany artysta przy odtwarzaniu swych ról. I p. Kazimierz Zalewski, i p. Józef Kotarbiński, piszą, że Żółkowski potrzebował *widzieć* rolę, aby ją zagrać. Jeżeli jest to tylko domysł, w takim razie jego tożsamość w dwóch wypadkach całkiem od siebie niezależnych dowodzi prawidłowości myślenia w zgodzie z rzeczywistością; jeżeli zaś jest to stwierdzenie faktu ujawnionego przez samego artystę, wtedy mamy już dowód rozstrzygający o istocie talentu Żółkowskiego. Jako człowieka miłującego sztukę dramatyczną, wielce-by mnie uradowało stwierdzenie tej drugiej hypotezy. Podparłoby ono własne moje pojęcia o twórczości artystycznej, a wrodzone zdolności Żółkowskiego ukazało na tym już stopniu, na którym bez pochlebstwa i bez uniesień wolno jest mówić o genialności. To *widzenie ról* nie jest niczem więcej, jeno uplastycznianiem się w wyobraźni odtwórczej artysty charakterów wytwarzanych przez poetę. Samodzielny artysta sceniczny dopiero z chwilą takiego *widzenia* działalność swoję rozpoczynać może. Dzięki temu widzeniu role jego nie są nigdy zszywane, nie powstają z szeregu mechanicznych zestawień, ale wychodzą z łona umysłowości artystycznej jako istoty organicznie żyjące. Wyższy artyzm sceniczny uzupełnia nawet i—w pewnej mierze—poprawia same charaktery wytworzone przez poetów, ścierając ich niewłaściwości środkami, jakie daje, bądź intonacya głosu, wyraz oblicza, pewien typ ruchów, bądź wreszcie sama gra mimiczna. Wielkiej niesprawiedliwości dopuszczają się autorowie utyskujący na psucie im ról przez artystów; zapominają o tem: ile im tych ról artyści właśnie, nawet niepierwszorzędni, ocalili przed wygwizdaniem! Żółkowski bardzo wiele postaci swoją tylko osobistą siłą podtrzymywał, i gdy z autorów jeden tylko Jordan odważył się na wieniec dla nieboszczyka, nienadesłanie tego znaku pamięci przez innych chętnie tłómaczono sobie skromnością.

Rozporządzał Żółkowski oprócz intelligencyi, która umiała rozważać i odważać i przewodniczyła przy pojmowaniu i studyowaniu ról, także i wielkiemi środkami psycho-fizycznemi. Jego twarz, w młodości, według p. Halpertowej, piękna, w dojrzalszym wieku odznaczała się oryginalnością rysów, niezmierną ich ruchliwością, uzdolnieniem do przerzucania się z jednych stanów zjawiskowych w inne, utajoną siłą ożywiania się i oświetlania takim blaskiem duchowym, jakiego dany moment roli wymagał. Oko nazwano oknem duszy: jest ono i lampą oblicza; roztacza jasność lub mrok, posępność lub pogodę daleko dzielniej, niż sam układ ust, dośrodkowe lub odśrodkowe ściągnięcie rysów. Oko Żółkowskiego, jego białko było fenomenalnem: wywrócenie go wystarczało dla komizmu, jedno spojrzenie nieraz wzbudzało śmiech; samo wejście, ukazanie się pozwalało przeczuć przedstawiany charakter. Te przymioty oblicza, zapewniając rozległą skalę fizjognomiczną, umożliwiały zarazem głębokie charakterystyczne rzeźbienie wrażeń na twarzy: najważniejszą sztukę, jaką artysta sceniczny zdobyć sobie sobie może poza uprawą głosu,—sztukę dla Żółkowskiego tem ważniejszą, że połowa może jego ról nabierała pociągającej siły tylko przez wyrazistość oblicza i grę fizjognomii. Głos, pełny, silny, dźwięczny, sprężysty, na zmiany w regestrze podatny, i jakby *przekonywający*, w tej nienaśladowanej grze fizjognomii znajdował najlepszą pomocnicę: ich współdziałanie, nigdy nie zawodzące pokazywało dopiero, że sztuka sceniczna w gotowych wytworach swoich sprowadza się do kunsztu oddawania właściwych zawsze *tonów duszy* w obliczu, głosie i ruchu, a nie do deklamowania wyrazów układanych przez poetę w rymowane czy nierymowane zdania. Żółkowski nie znał prawie charakteryzacyi i prócz wąsów, peruki i szminki nie używał innych środków do zewnętrznego indywidualizowania przedstawionych postaci; ale w jego obliczu odbijała się zawsze indywidualność wewnętrzna — dusza tego człowieka, którego podjął się urzeczywistnić na scenie. Z taką twarzą, okiem, głosem, z nieposzlakowaną swobodą ruchów, których rytmiczność nie raziła nigdy sztywnością, podbijał Żółkowski widzów przez lat trzydzieści kilka od chwili, gdy już talent jego ostatecznie dojrzał.

(Dokończenie nastąpi).

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd—Kępieński.

(Dalszy ciąg).

— Wdzięcznym dozgonu za tę łaskawość, Najjaśniejszy Panie, i ona napełnia moje serce tą błogą otuchą, że i drugiej mojej pokornej prośby wasza mość królewska nie zechcesz odrzucić, prośby tem gorętszej, że od niej zależy los i przyszłość młodego człowieka, który się stał dla mnie jedyną nadzieją, pociechą na stare lata, bo przybranym synem.

— O cóż się rozchodzi? Mów wacpan otwarcie — rzekł król niecierpliwie urywanym głosem.

— Jak to Waszej Królewskiej Mości zapewne wiadomo, oberstlejtenant Lettow z majorem a dzisiaj oberstem Gordonem, po zniszczeniu budynków w mojej własności Zborczycach, wzięli do niewoli tamże zostających kilkunastu ludzi jako należących do barskiego związku, chociaż ludzie ci, zupełnie nic nie byli winni, a jedynie stawali w obronie swego życia i swojej wolności. Między tymi nieszczęśliwymi, którzy dziś jęczą w krakowskim kałauzie znajduje się stary mój rządzca Ratułt, starościc spławski Malczewski, panowie Zbrożek, Czarnecki, Szeliga i bracia Rożnowscy, a co przedewszystkiem, mój wychowanek, jak to już mówiłem, prawie syn przybrany, Drużbic, podstolic łomżyński. Najjaśniejszy Panie, tak mi Boże dopomóż, to ludzie niewinni, a jeżeli zawinili młodzieńczą krewkością, to odcierpieli oni dosyć w dzisiejszem więzieniu. Czyż się nie zmiłujesz, panie, i w dowód twojej dobrotliwej łaski czyż im nie każesz przywrócić wolności? Wdzięczność i poświęcenie dla ciebie, Najjaśniejszy panie, tych młodych ludzi, którzy dziś przezemnie żebrzą twojej łaski, będzie nagrodą za ten czyn szlachetny. Najjaśniejszy panie, jeżeli kochasz ten naród, który cię postawił na tej wysokości, jeżeli ci zależy na miłości i wierności, a nie na bojaźni u twoich poddanych, wysłuchaj mojej prośby: Ojcowie i matki tych nieszczęśliwych dzisiaj, jęczących w więzieniu, błogosławić będą najlepszego z królów.

— Ha, ha, ha,—zaśmiał się Stanisław August urywanym śmiechem, — dobry jesteś wasze, panie Wielowiejski! Więc za to, że moi poddani knują spiski, bunty, że broń podnoszą przeciw uświęconej głowie, mordują nam przyjaciół pustoszą ich mienie, że całemi kupami napadają wojska, wszczynają rozruchy, skarżą nas przed zagranicznemi dworami i chcą strącić z tronu, na którym nas przedtem tam posadzili,—więc za to chcesz wasze, abyśmy im dawali dowody naszej łaskawości, a kiedy ich synów zakuto w łańcuszki, byśmy pomagali do ich uwolnienia? Dobry jesteś sobie, panie pułkowniku! Możeby jeszcze owe niewiniątka, co nie wiedzieć zkąd się wzięły z szablą w ręku pod Bolechówką przeciw naszym wojskom, zwołać do Warszawy, uczcić nagrodami, postawić jako model wierności dla swego monarchy, a już twojego Drużbica, czy jak się tam zowie, zrobić zapewne senatorem jakim?

— Najjaśniejszy Panie — zaledwie się mitygując w oburzeniu, mówił Wielowiejski — litość i wspaniałomyślność są przywilejem szlachetnych monarchów; urągliwe szyderstwo zasię i naigrawanie się z cierpień nieszczęśliwych jest udziałem tylko.....

— Nie kończ wasze — zawołał Stanisław August, z gniewu zaciskając pięści—wiem, co chcesz powiedzieć: pamiętaj, że stoisz w obec majestatu króla. Posłuchanie skończone: idź wasze i korzystaj z naszej przychylności, że nie robimy użytku z twych słów nieopatrznych. Żegnam pułkownika — dodał, skinąwszy ręką, rozsierdzony król, odwracając rozpłomione oblicze ku swoim papierom. Ale Wielowiejski nie ruszył się z miejsca; twarz jego wybladłą kurczowe przebiegało drganie, pierś się wzdymała od tłumionej walki; coś jak silne postanowienie, niby użycie ostatniego środka, zabłysło w ognistych oczach adjutanta króla.

— Jeszcze tylko słówko—przemówił nareszcie, postępując naprzód, — w dowód wysokiej waszej łaski, którą się będę chlubił aż po koniec życia, pozwól mi mówić jeszcze, Miłościwy Panie.

— Mów wasze, ale krótko, bo czas mam zajęty — rzekł król lakonicznie, gorączkowo prawie.

— Korzystając z pozwolenia ośmielę się przypomnieć chwile z lat dawniejszych, które miałem szczęście przepędzić wspólnie z wami, Najjaśniejszy Panie.

— Chwil tych było dosyć: tożeście mi byli najlepszym przyjacielem, najweselszym druhem owych lat szczęśliwych — i jakby pod wpływem wspomnień swobodnej młodości, rozchmurzył się król, złagodniało mu oblicze, a nawet na ustach zwiędłych pojawił się uśmiech.

— Czy pamiętasz, miłościwy panie, owe dni kilka, któreśmy wspólnie spędzili w Łomżyńskiem?

— A jakżebym nie pamiętał? — odparł król wesoło: — Pamiętam, i to kapitalnie, gdyśmy byli u owego szlachcica rejenta, kiedym kandydował podówczas na posła.

— U pana Glinki, później podkomorzego łomżyńskiego — dopełnił pułkownik.

— Tak, tak, u Glinki, a później u pana Przyjemskiego i jeszcze tam u jakiegoś podstarzałego starosty — prawił król wesoło, ożywiony wspomnieniem szczęśliwej młodości, które w późniejszych latach zawsze czar wywiera.

— Ośmielę się przypomnieć waszej królewskiej mości, że bywaliśmy u Starosty Makowskiego, gdzie się chowała podczas panna Agata Glinkówna.

— A, a, prawda, prawda, taki może siedmnastoletni podlotek; Jagusia było jej na imię; świeża jak rozwity pączek, wysoka, trochę tłusta, ale zawsze ładne, bardzo ładne dziewczę.

—O, tak, Najjaśniejszy Panie, odparł rozrzewniony adjutant—piękną była Glinkówna, ale znikoma piękność była niczem w porównaniu cnót, tej dobroci anielskiej, skromności, rozsądku i wszelkich przymiotów, które ocenić ten był tylko zdolny, kto z nią dłużej obcował i poznał ją bliżej.

— Z tonu i zapału widzę, pułkowniku, że wówczas, o czem nie wiedziałem, mieliśmy gust wspólny. Zdarza się to, zdarza.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie, kochałem Glinkównę pierwszem uczuciem młodości; była mi już narzeczoną niemal, jeno na zaręczyny czas nam nie pozwolił.

— I cóż się stało, że te affekty nie odniosły skutku?

— Racz sobie przypomnieć, Miłościwy Panie, szczegóły ostatniej wizyty u pana starosty.

— Ah, przypominam sobie doskonale—ożywiony ciągnął król wesoło.—Był jakiś arcy-komiczny, śmieszny bal u niego, na którym zmuszono mię tańczyć przy jednych rozstrojonych skrzypcach od szóstej wieczorem do samego świtu. Pamiętam kapitalnie tego tłuściocha Glinkę, jak zhasany na umór, runął u drobnych stópek pani starościny i jakoś fatalnie potłukł sobie czerep [14]).

— Jeżeli wasza królewska Mość — ponuro mówił Wielowiejski — raczy sobie przypomnieć tak małą drobnostkę, przypomni sobie także szczegół owiele ważniejszy.

— A cóż to takiego?—zapytał król pomieszany, pocierając czoło.

— To mianowicie, że podczas zabawy, wyszedłeś Najjaśniejszy Panie nocą do swego pokoju, jak utrzymywano, aby suknie zmienić.

— I cóż ta bagatela ma tutaj do rzeczy?

— Zaraz to wyjaśnię — ciągnął Wielowiejski, wpatrując się uporczywie w przybladłą twarz króla.— Po wyjściu waszem, Najjaśniejszy panie, zniknęła z pokojów także i panna Agata. — Niespokojny przez chwilę, wyszedłem jej szukać; chodziłem długo po wszystkich komnatach, po ogrodzie nawet, ale nigdzie, nieszczęściem, nie mogłem jej znaleźć. Niepokój mój wzrastał, a hydra podejrzeń szarpała mi piersi.

— Ah. ah, byliśmy zazdrośni! — przerwał Stanisław August z ironicznym śmieszkiem—w twojem położeniu niéma się co dziwić.....

— Być może, Najjaśniejszy Panie, że to była zazdrość, a może obawa o cześć tego domu, na który za gościnność miała paść hańba, ale tak, czy tak, wściekłe to uczucie zawiodło mię do przedsionka, który wiódł do twojej izby, Najjaśniejszy Panie.

— *Après?* — pytał król, chcąc sarkastycznym uśmiechem pokryć pomieszanie.

— Potem zobaczyłem wojewodzica mazowieckiego, wychodzącego z komnaty. Na waszem ramieniu, Najjaśniejszy Panie, zwieszała się bezwładnie płacząca Glinkówna, a łzy rzewne i rumieniec wstydu, jaki pokrywał jej blade oblicze, świadczyły najlepiej o zajściu w komnacie. Oszalały z bólu, skamieniały prawie, stałem, cisnąc rękojeść szpady. Wy, Najjaśniejszy Panie, przeszliście tuż obok nie widząc nieszczęśliwego, szepcząc jeszcze na ucho i całując usta zwiedzionej ofiary, która całem życiem miała odpokutować błąd swojej młodości.

— Ależ dobrze, mój pułkowniku,... przyznaję,... była to płochość młodzieńcza, był to grzech... zapewne.... *pas le premier, pas le dernier, ma foi...* ale co za związek... co za styczność mają ci Glinkowie..... jąkał coraz bardziej zmieszany monarcha.

— Racz mi pozwolić mówić, Najjaśniejszy Panie — ciągnął z goryczą dalej Wielowiejski a ogniste jego oczy pod wpływem wspomnień ciskały błyskawice gniewu, — tegosamego południa nastąpił wasz wyjazd. Zostawiliście uwiedzione dziewczę bez żalu, litości, nie bacząc na nieszczęścia, jakie prowadziła za sobą wasza bezsumienna płochość. — Czemże-to była jakaś obskurna szlachcianka dla wojewodzica? — czem była jakaś Glinkówna dla syna księżniczki?— czem jakieś zaściankowe dziewczę dla ulubieńca warszawskich piękności? Jak pusty dzieciak, przyzwyczajony do ścinania kwiatów, depcze je i wyrywa z uśmiechem na ustach, nie bacząc na łodygę ani na jej liście, tak wy, Najjaśniejszy Panie, uwiodłszy moję narzeczoną nie myśleliście o hańbie, którąście sprowadzili na nieszczęsne dziewczę ani o następstwach, które przyjść musiały.

— Tylko bez tragedyi — zawołał król, powstając ustami drżącemi od gniewu — bez tych kazań i niepotrzebnych morałów, mości pułkowniku! Czego chcesz? — do rzeczy!

— Jeszcze chwilę tylko: będzie rzecz skończona. Wrzący z oburzenia, zmusiłem Glinkównę, by wyznała wszystko. Nastąpiło zerwanie — zbezczeszczonej nie chciałem wprowadzać pod dach mój rodzinny: wyrąbawszy się z rejentem, od którego cięcie noszą pod peruką, wyjechałem do domu ojca, do Zborczyc w Krakowskiem, zkąd po elekcyi, raczyliście mię na służbę przy sobie powołać, Najjaśniejszy Panie. Przedtem, jeszcze doszła mię wiadomość, że stary Glinka? dowiedziawszy się o wszystkiem, wyklął swoję córkę. Ciotka jej, sędzina płocka, ulitowała się biednej i, wziąwszy do siebie, wydała za podstarzałego już dobrze Drużbica. Zamożny podstoli kochał się szalenie w swojej młodej żonie, ale w pięć miesięcy po ślubie wszystko się wydało: urodził się syn, a zazdrosny Drużbic, bez względu na cierpienia nieszczęśliwej matki, wypędził ją z domu, sam zaś w niedługim czasie ze zgryzoty umarł. Owóż syna podstoliny, za jej zezwoleniem, wziąłem pod opiekę i wychowałem z pomocą mojej dobrej żony na dzielnego chłopca. Jest nim ów Jędrek Drużbic, dla którego błagam dzisiaj o łaskę waszę, Najjaśniejszy Panie!

Stanisław August zakrył twarz rękoma i dumał przez chwilę a w żywej jego, lotnej wyobraźni przesuwały się niby w latarni magicznej, posępne obrazy, co wstawały z głębi uśpionej przeszłości, wskrzeszone teraz słowy pułkownika. Oczyma duszy patrzał na cały szereg nieszczęść, których był powodem, na stargane życie, poszarpane związki, na serca kurczowo wijące się z bólu, co przeciągały przed nim w żałobnym orszaku, a w nim widniała postać urocza Glinkówny, strasznem przekleństwem rażonej przez ojca, błąkającej się mizernie od progu do progu, ściganej szyderstwem, chłostanej pogardą, bez nadziei pociechy, bez własnego kąta. I być może, iż w tem wypalonem, zawiędłem już sercu zadrgała iskra współczucia dla wielkiej niedoli; być może, że wyrzuty sumienia poczęły je gnębić, stawiając przed oczy koleje życia nieszczęsnej ofiary; być może zresztą, że to była odegrana komedya, aby sobie pułkownika ująć,—dość, że królowi, kiedy twarz odsłonił, dwie łzy ogromne migotały w oczach, a głos drżał nerwowo od głębokich wzruszeń.

— Cóż się dzieje z matką? — spytał pułkownika.

— Po śmierci męża podstolina, zwierzywszy mi syna, osiadła na dewocyi u panien Benedektynek w klasztorze w Staniątkach.

— Czy widuje syna?—pytał król z zajęciem.

— Nie, nigdy nie widuje, N. Panie. Jako pokutę za swój grzech młodości wykonała ślub, aby nie widzieć twarzy najdroższego dziecka. Drużbic wychował się, nie widząc nigdy oblicza swej matki, a dodziśdnia sądzi, że jest sierotą, że utracił rodziców w swem wczesnem dzieciństwie. Taka była wola pani Drużbicowej, której dotrzymałem święcie

— Nie wie zatem w Staniątkach co się dzieje z synem?

— Dotychczas nie wie jeszcze...

— Dziękuję ci za to, panie Wielowiejski; bałem się bowiem przez chwilę, że mnie będzie męczyła swojemi prośbami: a wiesz już z lat dawnych, jak nienawidzę z serca wszystkich szlochów babskich.

I znowu z obojętną miną zwrócił się Stanisław August ku wielkiemu oknu, bawiąc się lornetką na złotem łańcuszku, jakby się już pragnął pułkownika pozbyć. Wielowiejski stał milczący, niby skamieniały posąg, na twarzy jego malowały się odbłyski przebywanej walki, z jednej strony duma, oburzenie, słuszność dobrej sprawy, z drugiej zaś niebezpieczeństwo wychowańca i jakaś nadzieja, że pokorą, poddaniem się zmiennym kaprysom królewskim wybłaga łaskę monarchy,— walczyły o lepsze.

— Najjaśniejszy panie – rzekł wreszcie — czekam na Wasz wyrok.

— Czegoż-bo chcesz, mój ty Wielowiejski — opryskliwie odparł król, patrząc się w okno—Cóż ja mam zrobić? wiesz przecie, że twój protegowany nie jest w naszem ręku.

— Sądzę, że pismo zawierające kilka słów przychylnych do kommendanta załogi w Krakowie miałoby skutek pożądany i wróciło wolność nieszczęśliwym więźniom.

— Takiego pisma ja nie dam — odparł król z uporem — związałem się słowem, że żaden ze związkowych nie ma prawa łaski. Taka pobłażliwość z mej strony zachęca do buntu. Twój Drużbic człek młody, głowy mu nie zdejmą, a sprawiedliwa kara będzie przestrogą dla niego na przyszłość, aby się nie porywał z motyką na słońce.

— Więc mi odmawia Wasza Mość Królewska?— zawołał pułkownik głosem pełnym bólu—to słowo ostatnie?

— Przykro mi niesłychanie, wierzaj pułkowniku, ale odmawiam stanowczo i więcej o tej sprawie mówić nawet nie chcę. Potrzeba dać przykład dla tych głów szalonych, a do tego posłuży ów Drużbic, jako wychowaniec mego adjutanta. Zobaczy przecie raz ten butny naród, żem jest sprawiedliwy, że się nie unoszę żadnemi względami, ani się dam skorrumpować jakowąś protekcyą.

— Więc gwoli przykładu nawet krew własną poświęcasz, N. Panie?

— O tem wiedzieć nie chcę: wszystko to z powietrza pochwytane bajki; jeżeli poświęcam, niech już i tak będzie, to poświęcam przybranego syna mego adjutanta.

— Nietylko przybranego syna poświęcasz, N Panie — zawołał Wielowiejski stanowczo i dumnie—poświęcasz i jegosamego, poświęcasz osobę tego adjutanta, który ostatni raz błaga Waszę Mość Królewską w imię Boga, honoru, miłości bliźniego, w imię tej dobroci, której tylokrotne dałeś mi dowody: racz się ulitować, Najjaśniejszy Panie!

To mówiąc, Wielowiejski przypadł na kolana, chcąc królowi z pokorą ucałować rękę, ale ukoronowany pyszałek odsunął go kwaśno:

— Proszę dać mi pokój, nie chcę słyszeć o tem— rzekł ze zwykłym u słabych charakterów, dziecinnym uporem.

Porwał się Wielowiejski i otarł pył kolan; jakimś piekielnym ogniem błysnęły mu oczy.

— Więc do tego doszło? — zawołał w uniesieniu nieznającem granic — Więc najdawniejszemu z przyjaciół odmawiasz swej łaski, N. Panie, bez względu na jego tyloletnią a gorliwą służbę? Kłamcą być nie chcę, podłym być nie umiem, obłudą się brzydzę, więc i Waszym adjutantem dłużej być nie mogę. Proszę o dymissyą, a niech Bóg Wam nie pamięta ciężkiej mojej krzywdy, N. Panie! — i z temi słowy zbliżył się do króla a wyjąwszy szpadę, złożył ją na stole.

---

14) Autentyczne szczegóły wzięte z własnoręcznego królewskiego pamiętnika pod tytułem: „Młodość Stanisława Augusta“ ogłoszonego przez Bronisława Zaleskiego, patrz „Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, r. 1873. — *P. A.*

— Namyślę się jeszcze, panie adjutancie—zawołał przelękniony Stanisław August, oddając szpadę w ręce pułkownika—*Soyons amis, Cinna, c'est moi qui t'en prie.*

— Już się namyśliłem, N. Panie — odparł dumnie Wielowiejski i, skłoniwszy się nizko, znikł za portyerą zprzed oczu królewskich.

. . . . . .

I znowu kilka tygodni minęło od opisanych powyżej wypadków. Zawitała zima, a z nią osłabły działania wojenne; wobec mrozów i śniegów, utrudniających podjazdową wojnę, pozbiegała się szlachta do domów, aby wiosennej oczekiwać pory; wojska królewskie przebywały w miastach, wypełniając luki, jakie w szeregach wyszczerbiły szable i kule związkowych. — Cicho było i smutno na obszarze kraju, tylko czasem doleciała głucha wieść o jakimś napadzie, o jakiejś krwawo stoczonej potyczce, i biednych mieszkańców napełniała trwogą.

W kamienicy zwanej Krzyżtopory przy rynku krakowskim zamieszkiwał podówczas pan łowczy koronny, generał Branicki, znany z nienawiści do konfederatów, a przyjaciel królewski. Huczne bywały lusztyki u pana łowczego, przeplatane grą w kości i całonocną hulanką; wino lało się strugami, grzmiała muzyka i huczały śpiewy, jakby chciały zagłuszyć niedolę ludności. Korzystając z takich pokojowych wczasów, umyślił pan łowczy zwolnić załogę krakowską od strzeżenia jeńców, ktorzy nietylko jedli chleb darmo, nietylko przeklinali króla i jego przyjaciół, ale nadto narażali generała na ciągły niepokój, słychać było bowiem nie na żarty o jakimś między nimi spisku, o jakimś planie szalonym, aby wyciąć załogę z pomocą mieszkańców i tym prostym sposobem uwolnić się od opieki nieproszonej króla. A kiedy prócz tego nadeszły rozkazy, aby bezzwłocznie do Warszawy wysłać uwięzionych, to niéma wątpienia, że byłby się już z nimi uporał pan łowczy i dla miłego spokoju nietylko do Warszawy, ale gdzieś dalej wysłał ich na północ. Wydał już nawet ordynans dragonii, która miała dla jeńców stanowić eskortę, gdy od pewnego czasu rozeszły się wieści o jakimś dotąd nieznanym dowódzcy, który się miał odznaczać szczególnem zuchwalstwem. Wódz ten chodził luźnym oddziałem skrytemi drogami, zjawiał się nagle, niby piorun z nieba, gromiąc regałów przy każdem spotkaniu i znowu przepadał jak szatan pod ziemię, by *de noviter* podrywać alliantów królowi. Mówiono o nim, że to iście zawierucha jakaś, co dzisiaj spada ze śniegiem z powietrza, a jutro ze śniegiem taje od promieni słońca. Prawiono też dziwy o owym rycerzu, który szczególniej okolice Krakowa sobie upodobał, zwijał się jak fryga, zbierał ochotników, uzbrajał natychmiast, bo miał ze sobą i zapas oręża, który prowadził furgonem, a tak był znajomy ze wszystkiemi kryjówkami, że go nikt nie widział, aby gdzie obozował.

Opowiadano sobie pod wielkim sekretem o kilkunastu trupach w mundurach królewskich, które znaleziono w zaspie pod Gdowem nad Rabą, a które miały być ofiarami zuchwalstwa rycerza. To znowu ktoś, co dopiero ze stolicy przybył, widział na własne oczy jednego z dowódzców pędzącego ku Warszawie kilkudziesięciu jeńców a jeszcze tegosamego dnia ktoś w puch rozproszył ów oddział królewski, jeńców odbił, uzbroił i własną drużynę podwoił w ten sposób. Miał to być także ów wódz tajemniczy, ów nieznany rycerz, który coraz bardziej wyrastał na jakąś legendową postać. Bał się więc pan łowczy wyprawiać swych jeńców, aby ich nie odbił ów wódz nieznajomy; kiedy jednak powtórny przyszedł rozkaz z gabinetu króla, a pogłoski o spisku nabierały prawdy, przeląkł się Branicki i zawezwał na naradę co starszych dowódzców.

Zeszli się więc u niego generał Jordan, oberstery Gordon, Lettow i nasz znajomy pan Ludwik Dębicki, który za bitwę pod Bolechówką, gdzie swoim attakiem na stronę regałów przeważył zwycięztwo, dostał order Ś-go Stanisława i patent na majora gwardyi konnej od wdzięcznego króla.

Narady trwały długo przy butelkach wina; rozważano *pro* i *contra* owego transportu, możliwość spisku i rozruchu w mieście; a rzecz w istocie dziwna, kiedy młodsi officerowie, jak: Lettow, Gordon i Dębicki, chociaż znani z męztwa, radzili ostrożność, — to generał Jordan jaknajgoręcej przynaglał o pośpiech. Gorączkował się ciągle, (bo był już stary i niedołężny) upierając się wbrew wszystkim, aby bez zwłoki transportować jeńców, i sam dla pewności chciał objąć dowództwo. Ale i nie dziwota: wiadomo było zebranym na radzie, że Jordan jeszcze czasu bezkrólewia, jako pułkownik wojsk saskich, liczył się do najżarliwszych partyzantów hetmana Gryfa Branickiego i księcia „Panie Kochanku“ a do srogich oponentów nowego elekta; dopiéro zaś po słynnej pod Brzozowem bitwie, którą Mokronowski stoczył z wojskiem Czartoryskich, obaj z Moszczeńskim, chociaż-to niby żarliwi przyjaciele hetmana i jego chleb jedli, teraz, po przegranej, zwąchali pismo nosem i chyłkiem po nocy uciekli z oddziałem swoim do przeciwnego obozu, jak się tłómaczyli wówczas, „dla dobra ojczyzny“. [15]) Od tego-to czasu liczył się Jordan do najgorętszych zwolenników Stanisława Augusta, jakby dla zagładzenia grzechów swej przeszłości, mścił się i tępił konfederatów, gdzie ich dosięgła jego niedołężność, a wdzięczny monarcha przesłał mu w uznaniu zasług patent generała. Kiwał głową pan łowczy, że na taką zimę chciało się staremu dowodzić eskortą, ale miał to za gorący ferwor dla sprawy królewskiej, albo nadzieję nagrody, jakiej mógł się spodziewać Jordan za odstawę jeńców. Bądź jak bądź, kontent, że z głowy zepchnie nieprzyjemną sprawę a sam odzyska upragniony spokój, zgodził się Branicki na oddanie kommendy w ręce generała. Dla większego bezpieczeństwa dawał cztery szwadrony gwardyi konnej i dwa szwadrony dragonii, któremi miał dowodzić w przedniej straży Gordon, w tylnej, Lettow, a pan generał miał zostać przy jeńcach. Wyprawa miała wyruszyć za dni trzy z Krakowa, żeby zaś między mieszczanami uniknąć rozruchu, uradzono wybrać się wieczorem, i to dla zmylenia śladów nie zwykłą warszawską drogą przez Prądnik, Mogiłę, ale przez Zwierzyniec i Wolę Justowską miano ku Łobzowu zdążać, zkąd przez Bolechowice i Karniowice maszerować w kierunku Miechowa. Dalej to trochę, ale nie trzeba było ciągnąć przez ulice, jeno prosto z zamku mijało się miasto wzdłuż brzegów Wisły.

Urządziwszy tak wszystko, szczęśliwy był pan łowczy, że odzyska spokój, szczęśliwy i pan Jordan nadzieją nagrody; nie tak atoli było z panem Fryderykiem, który tą wyprawą trapił się nad wyraz. Dotychczas darzyło się jak z płatka panu Gordonowi, odznaczył się kilkakrotnie bez żadnego szwanku, został obersterem w gwardyi a sam król Jegomość zaszczycił go listem, otwierała mu się więc naoścież świetna krescytywa, nadomiar wszystkiego, miał za dni kilka dostąpić dawno marzonego szczęścia. Matka bowiem Marysi zjechała do Krakowa w przejeździe do Soorau; świeżo odznaczony Gordon w wielkich łaskach u ciotki bywał tam codziennie rozkochany na umór w swojej narzeczonej, która wobec matki taiła swą niechęć, udawała przychylną dla pana obersta, choć nie szczędziła wyrzutów za ów niezapomniany napad na Zborczyce. Korzystając z takich szczęśliwych aspektów, prosił Gordon ciotki, aby już dłużej nie odwlekać ślubu; tłómaczył jej, że teraz, gdy zima nastała a z nią krótkotrwały pokój, pora była osobliwa do odbycia godów — później zaś, kiedy z wiosną poczną się rozruchy a on pójdzie w pole na rozkazy króla, to się znowu odwlecze szczęście jego życia: a któż wie czy nie przepadnie na wieki, bo gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają, wszyscy zaś na świecie bywają śmiertelni i nawet oberster gwardyi nie stanowi wyjątku z ogólnego prawa. Zgodziła się więc ciotka na te argumenta, zgodził się i pułkownik, o którego wolę pytano listownie, sproszono już gości, zamówiono superintendenta i porobiono wszelkie przygotowania do ślubu, który się miał odbyć po Trzech Królach, dziesiątego Stycznia.

Tymczasem nadszedł ów rozkaz z Warszawy odstawienia jeńców, a Gordon *nolens volens* musiał słuchać ordynansów pana łowczego koronnego, chociaż im ze swymi przyjaciołmi Dębickim i Lettowem, jak mógł, opponował. Ale służba—służbą; zawiadomiwszy więc pułkownikową o swem przeznaczeniu, począł się w podróż wybierać i przygotowywać szwadrony. Tymczasem w domu pani Radzimińskiej dowiedziano się także o owej wyprawie, raz, że mówiła o niej pułkownikowa Górecka, która często odwiedzała panią Wielowiejską; a powtóre, że miewano tam częste relacye z majorem Dębickim, a nawet za jego wpływem i protekcyą ulżono niedoli jeńców pobranych w Zborczycach, zdjęto im kajdanki i pozwolono na życie dostatnie z miasta. Życie to odnosił zazwyczaj znany nam Pietrek na zamek, widywał tam wszystkich: i pana Drużbica, i obu Ratułtów (Józiek bowiem wzięty pod Bolechówką odnalazł się z ojcem) — i starościca spławskiego; zdawał zawsze o nich sprawę pani Wielowiejskiej, a nie zapomniał także nigdy poszepnąć Dzierżkównie:

— Zdrowi są—mówił—wszyscy a już mój pan to najzdrowszy i z nich najpiękniejszy. Dobrej są oni myśli jeno im się przykrzy; chcieliby coprędzej dostać się na wolność.

O panu Wielowiejskim od czasu podróży do Warszawy nic słychać nie było, zapadł się jak pod ziemię, przepadł gdzieś bez wieści — sama tylko pułkownikowa musiała wiedzieć, kędy się obraca, bo wyprawiała do niego listy, ale pod sekretem. Opatrzony w generalne pozwolenie wyjścia poza mury, nosił zwykle te listy Pietrek na Wolę Justowską, własność ówcześnie pana starosty rzędowskiego Józefa Wielowiejskiego, zkąd je dalej expedyował rządca tameczny Wyczfiński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

15) Pamiętniki XVIII w. Pamiętniki Kosmowskiego i Adama Moszczeńskiego. Dzieje Polski Szujskiego, tom IV, str. 302.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 21 Listopada, 1889 r.

Zamknięcie wystawy paryzkiej. — Publiczność dni ostatnich.—Wtorek i Środa (5 i 6 Listopada). — Chaos nocnego wyjścia z wystawy we Środę. — Wypadki. — Dzisiejsza fizionomia wystawy. — Zaduszki. — Słaby kontyngens płaczących w tym roku.—Dodatkowe wybory w Październiku do Izby poselskiej we Francyi. — Festyn tak zwany: „Anvers et Paris“.—Dyrekcya „Figara“.—Zbiegowisko.—Dwudniówka,—Rezultat.—Wielcy zmarli w Październiku.—Król Portugalski Dom Luiz de Bragança. — Osobiste wspomnienia o królu.—Emil Augier.—Otwarcie zimowego sezonu.—Dwa nowe dramata: „Walka o byt“ Alf. Daudet'a i „Drwalowa“ (*la Bûcheronne*) Chojeckiego (Charles Edmond).

(Dokończenie).

Zaraz na początku redakcya „Figara“, podejmując tę sprawę na swój rachunek, postanowiła skorzystać z urządzenia i dekoracyi pałacu przemysłowego Pól Elizejskich, pozostałych po równie sławnem wykonaniu kolosalnej ody pani Holmes'owej. Była-to myśl praktyczna, odpowiadająca doskonale znaczeniu i ważności zamiaru. Lokal rozmiarami swemi nadawał się na zbiegowisko, jakie zamyślano właśnie urządzić, a gotowe już w większej części przybranie sali pozwalało ograniczyć wydatki na prace przygotowawcze.

Główną, najważniejszą częścią programatu festynowego był — kiermasz. „Figaro“ prowadził na ten rynek swoje „panie kupcowe“, śmietankę półświatową — zawsze powabne, choćby nie piękne w ogóle aktorki — wyższą zalotność. Na scenie pyszne dekoracye z żywych obrazów—wokoło szopek bez liku, a przy nich, jako kupcowe, panie, o których była mowa, a do których

jak na lep, lecą paryzkie motyle z pełną kieszenią i otwartą ręką. Dalej drewniane konie, najdroższa zabawa przedmieść—elektryczna strzelnica, sklep winiarzy, pasztetnicy i kucharze, a wszędzie gotówka, złoto.

Od niepamiętnych czasów, złożone w osobnym składzie, spoczywają w Antwerpii rozmaite ozdoby i dekoracye odświętne, a w tej liczbie dwie olbrzymie statuy, znane pod dziwacznem nazwiskiem Druon-Antigona i jego żony. Są to fantastyczne, olbrzymiej wielkości, kamienne posągi, które niegdyś pilnowały wrót starego ratusza; ani piękne, ani artystyczne, ale dziwaczne, złożone zostały, przy odnawianiu gmachu, w składzie rupieci miejskich, wraz z kolosalną statuą, Salviusza Barbo, i z historycznym, złoconym wozem Rubensa.

Do tego „Figaro“, któremu fantastyczna starzyzna obiecywała świetną reklamę, wymógł jej sprowadzenie do Paryża. A ponieważ te kolosalne zabytki nie mogły się pomieścić na wozach kolei żelaznej, sprowadzono je więc, spławiając Skaldą i kanałami aż do Sekwany i Paryża — na to jedynie, aby pomieścić to w reklamie, bo rzeczywiście w Pałacu Przemysłowym, podczas festynu nikt na owe olbrzymy nawet nie spojrzał; tylko w rubryce wydatków ten przywóz zapisany jest również kolosalną liczbą! — Ale mniejsza o to, skoro golibroda może zamydlić oczy: niéma rzeczy, niéma nic, czego-by nie poświęciła dla reklamy.

Nakoniec, d. 19 Października, o godzinie 9-ej wieczorem, otwarto drzwi do wejścia. Ogromne wnętrze pałacu zapłonęło ogniem milionowej liczby lamp i świeczników elektrycznych. Widok był rzeczywiście czarujący, niecierpliwością dyszące tłumy rzuciły się hurmem do wnętrza. Wśród dekoracyi, roślin i kwiatów, wszystkie kunszty pół świata jaśniały przepychem stroju i jak pod bronią, na swych posterunkach czekały spotkania — „Figaro“ na dwa dni przedtem dało całą kompletną listę tej lekkiej chorągwi — *ne varietur!*

O godzinie 11-ej więcej niż trzydzieści tysięcy osób wypełniało hallę centralną i poboczne galerye. Ścisk, prawdziwie kiermaszowy,—a tu jeszcze co chwila bije nowa fala ciekawej publiczności. Daremnie próbowano powstrzymać ten prąd straszliwy. Musiano mu zostawić wszelką swobodę. Wszystko zgnietli i zdeptali. Co się działo wewnątrz, tego nikt opisać nie zdoła, a trzeba dodać, że cisnący się ludzie płacili za prawo wejścia po pięć, dziesięć i więcej franków.

Szalona ta zabawa przeciągnęła się do dnia białego, a nazajutrz, a raczej tegożsamego dnia, od 2-ej do 5-ej popołudniu, znowu otwarto podwoje — i rozpoczęto nową zabawę, zastosowaną do okoliczności. Był-to już festyn dla dzieci — dla „Milusińskich“ — bal na olbrzymią skalę.

Wszystko to się udało wyśmienicie i poszło jak z płatka. Ale... bo i cóż bez *ale?* Miesiąc już czasu z górą upłynął od tej świetnej chwili, a dotąd jeszcze o brzęczących skutkach festynu niéma ani słychu; gorzej nawet, bo zaczynają przebąkiwać, że pomimo tak świetnego żniwa plon się okazał tak mizernym, iż cała sprawa zredukuje się do deficytu, którego połowa—*referens horresco*—jakie 25.000 fr. na Antwerpczyków przypadnie. Tego tylko brakło naszemu golibrodzie. Mówią teraz bardzo wiele o jakiejś loteryi fantów, ofiarowanych przez uczestników wystawy—ale lepiej zamilczeć do czasu ostatecznego obrachunku, jeśli ten kiedy nastąpi! Nie przez pessymizm to mówię,—ale kto się na gorącem sparzy, ten i na zimne dmucha.

Mądry jakiś statystyk obliczył niedawno, że na całej kuli ziemskiej umierają na minutę 62 osobniki czyli jednostki ludzkie. Wierzę temu na słowo i nie wdaję się w żadne rozprawy. *Sześćdziesiąt dwie jednostki*—powiada. Są to owe jednostki, za jakie wszystkich ludzi uważał Filip II Schillera. Ale w tych jednostkach są przecież i takie, co staną za milion, za miliony nawet—po zniknięciu których zostaje coś jakby owo światło, ledwie dojrzanych ciał niebieskich, co po wielu wiekach zniknięcia widome są jeszcze dla mieszkańców ziemi.

Wprawdzie nie tak ogromne, ale w każdym razie wybitne jednostki zniknęły przed nami w zeszłym Październiku. Jedną z nich był Dom Luiz, Król Portugalski—drugą Emil Augier, pisarz dramatyczny. Obydwóch znałem osobiście, u obydwóch miałem nawet pewne zachowanie, jakie mieć może mały i drobny człowieczek u takich potencyi.

Kiedy się zwrócę ku przeszłości, widzę, jakby to dziś było—jakby na jawie—w tymsamym czarownym pałacu *Cascaes*, gdzie Dom Luiz zamknął powieki 19 Października,—widzę, wśród wspaniałego balu, wydanego na przyjęcie kongressu literacko-artystycznego w r. 1880, jak król, pełen życia i zdrowia, ze zwykłą mu uprzejmością, zbliżał się do każdego prawie z członków obu kongressów (literacko-artystycznego międzynarodowego i etnograficznego), i kilku przynajmniej słowy wyrażał mu, albo pochlebną wzmiankę o jego pracach naukowych, literackich lub artystycznych, albo radość, jaką mu sprawiała przytomność w Lizbonie tylu znakomitych cudzoziemców.

Miałem wówczas zaszczyt być jednym z trzech prezesów kongressu literacko artystycznego — i z tego zapewne tytułu król był szczególnie na mnie łaskaw. Z żywem uczuciem przychylności wspomniał mi o mojem przemówieniu, przy solennem otwarciu zgromadzenia, z uśmiechem pełnym uznania dotknął szczególniej tej alluzyi, którą miałem na celu, kiedym — jak mówił—tak trafnie zastosował do naszego kraju „*Cogito ergo sum*“ Kartezyusza, — poczem, wziąwszy mię pod rękę, poprowadził do przyległej sali, gdzie się zatrzymał przed szeroko otwartem oknem na pogrążone w cieniach nocy, ale błyszczące piękną illuminacyą wspaniałe ogrody pałacu w Cascaes i na płowe nurty cicho u stóp naszych płynącego Tagu.

Zdało mi się na czasie wspomnieć królowi o jego tłómaczeniu Shakespeare'a, którego część już była wówczas ogłoszona drukiem. Dom Luiz uśmiechnął się i powiedział skromnie: — „Trudną przedsięwziąłem pracę, ale mam nadzieję, że Bóg mi pozwoli doprowadzić ją szczęśliwie do końca“.

Nie wiem: czy to tłómaczenie wyszło dziś na świat, czy było skończone?—ale sądząc z tej części, którąśmy mieli wówczas w ręku, było to prawdziwe arcydzieło nowożytnej literatury portugalskiej, nie dlatego, że to robota królewska, ale dlatego, że tłómacz, przy głębokiej znajomości oryginału, umiał zachować wykwintną czystość własnego języka. Poczem, aby mię zbić z tropu—jak to powiadają — i uniknąć pochwał, które mógł uważać za stronne, zapytał zaraz:

—„Czy macie też w polskim języku tłómaczenie dzieł angielskiego dramaturga?“—A gdym mu powiedział,—że mamy i nie jedno, i że ostatnie, jako praca zbiorowa, wyszło pod kierunkiem jednego z prezesów naszego stowarzyszenia, znakomitego pisarza polskiego Kraszewskisgo. — „Czy tak?—zapytał.—Mam w swojej bibliotece tłómaczenia Shakespeare'a prawie we wszystkich językach, ale polskiego nie mam“. — Poprosiłem go zatem, aby mi pozwolił złożyć mu w ofierze w imieniu Kraszewskiego, a pośrednio i samego społeczeństwa, dla którego Dom Luiz miał wiele sympatyi—jeden exemplarz. Zgodził się uprzejmie, wskazując mi drogę za pośrednictwem mego kollegi w stowarzyszeniu a posła portugalskiego w Paryżu Dom Jose da Silva Mendes Leala. Skorzystałem z niej bezzwłocznie po powrocie do Paryża i exemplarz nadesłany z Drezna przez Kraszewskiego doszedł rąk króla.

Dziś, niestety, z tego wszystkiego zostaje tylko wspomnienie — i przeszłość zasłana gruzami! Pośredniczący poseł zmarł kilka lat temu; umarł król Fernando, ojciec Dom Luiza, który nas wówczas tak gościnnie przyjmował w swoim czarownym zamku Cintra, w tym pałacu, który przykuty do wierzchołka wyniosłej skały, zlepiony z resztek arabskich, wygląda jak gniazdo orle, panując wspaniale nad całą okolicą i nad szerokiem ujściem Złotego Tagu—*Cintra*, którą opiewał zachwycony Byron, — Cintra, tonąca, nie w mieszczańskim parku, ale w prawdziwym lesie kamelii, rozrosłych w ogromne drzewa, palm, myrtów, bananów, fig i pomarańcz. O, jakże usprawiedliwia moje i Byrona zachwyty ów niezapomniany „*castellado Palacio*“, jak go nazywają Portugalczycy. Tam gościnny nam wówczas—umarł jego właściciel; umarł i Dom Augusto, młodziutki syn jego a brat zmarłego króla—w grobie już także i Dom Luiz Na tron wstąpił jeszcze młodo w r. 1861 po bracie swym, zmarłym również przedwcześnie z dziwnej, tajemniczej jakiejś choroby. Panował zatem Ludwik II niespełna lat 28.

Panowanie jego, o tem świadczą wymowne fakta i na to zgadzają się wszyscy—miało wielkie znaczenie dla dobrobytu Portugalii.—To też cały dziś naród w żałobie. Oby to moje wspomnienie było dlań świadectwem wdzięcznej pamięci Polaka! Dziś kiedy tak wszystko znikło, co było świetnem i wielkiem, możemy powiedzieć z Malczewskim, że wszystko przechodzi na tym tu świecie, a śmierć się lęgnie i w bujnym kwiecie. Zostaje tylko wspomnienie — i dzięki Bogu, jeśli poczciwe i zacne.

Drugi z porządku, którego stratę odczułem boleśnie, był Emil Augier. Kilka lat temu, dziwnym zbiegiem okoliczności, miałem szczęście poznać go zblizka, i dzięki tej naturze, ujmującej i serdecznej, jaką posiadał Augier, stosunki nasze stały się daleko ściślejszemi od prostej tylko znajomości.

Wszystkie bez wyjątku tutejsze dzienniki oddały hołd należny znakomitego pisarzowi. Czytaliście i wiecie zapewne wszystko, aż do drobnych przygód tego pięknego żywota: nie będę więc zabierał miejsca, powtarzając dobrze znane szczegóły. Zresztą mój kollega *Quis* w 45 numerze *Bluszczu* zpowodu wysokich honoraryów tenorowych, przywodząc przykład zmarłego pisarza, dobrze już określił życie i charakter autora „Bezczelnych“. Od siebie powiem tylko, że Augier, jako autor i człowiek, była to najzacniejsza i najpoczciwsza dusza.

Na otwarcie nowego sezonu zimowego, a jakby na pożegnanie wystawy, przedstawiono tu dwie sztuki, które narobiły dużego, choć niejednakowego, hałasu.

Pierwszą z nich, co do daty przedstawienia, jest Alf. Daudet'a „Walka o byt“, — drugą Ed. Chojeckiego *La Bûcheronne*, coś jakby „Drwalowa“ popolsku.

„Walka o byt“—jest to dalszy ciąg znanej już wam powieści Daudet'a *L'immortel*. Syn ów akademika Paweł Astier, postrzelony śmiertelnie w pojedynku, jakby cudem przychodzi do zdrowia i życia. Żeni się z ową podstarzałą Maryą Antonią, księżną de Padovani, i dzięki ogromnej fortunie księżny *Strugglerforlifista* zostaje posłem, ale nie mogąc przezwyciężyć swych rozpustnych i przewotnych nałogów, doprowadza do tego, iż księżna, obrażona w swej godności, usuwa się na stronę i osiada w swym zamku około Blois.

Na dobitkę niepowodzenia, bankier, u którego były złożone kapitały księżny, bankrutuje, i oto Astier—tak się zowie bohater—jest zruinowany, właśnie w chwili, kiedy został mianowany pomocnikiem ministra. Ale Astier nie traci głowy. Mieszka w Paryżu niezmiernie bogata Węgierka, Esterka de Seleny, która się w nim kocha. Letkiewicz stara się wyjednać u żony zgodę na rozwód, z warunkiem sprzedaży owego zamku za trzy miliony, które zapłaci Węgierka.

Autor, uważał za rzecz stosowną do tak skomplikowanej już akcyi wprowadzić nowy żywioł, dodając bohaterowi trzecią ofiarę. Jest nią Lidya Vaillant, córka urzędnika pocztowego, protegowanego przez księżnę, i którą Astier uwiódł, nie kochając jej wcale. Za Lidyą wchodzą do sztuki: jej stary ojciec i narzeczony, Antoni Caussade, a przytem jeszcze niejaki Chemineau, applikant u notaryusza, Lartique, sekretarz Astier'a etc.

Aby opowiedzieć porządnie tak splątaną osnowę dramatu, trzebaby więcej miejsca i czasu, niż mi ich udzielono. Muszę więc streścić i skrócić; inaczej nie wyszedłbym cało.

Księżna zawsze kochająca Astier'a—nieraz to, niestety, zdarzyło się i na świecie — odmawia sprzedaży zamku, a Lidya, ukryta w sąsiednim pokoju, poznawszy zamysły niewiernego kochanka, truje się; ratuje ją przecież od śmierci śpieszne wezwanie lekarza, a Astier, dostawszy do

rąk resztę trucizny postanawia skrócić zapomocą tego środka likwidacyą małżeńską z księżną.

Po rozmaitych przejściach i po świetnym obiedzie małżonkowie znajdują się w sypialni. Tu, jak wraz, księżna, czując się blizką zemdlenia, woła o szklankę zimnej wody. Astier podaje jej napój zatruty, ale w chwili stanowczej traci odwagę i ostrzega księżnę, aby nie piła. Następuje scena wyrzutów, zgoda na rozwód, na sprzedaż zamku—i odjazd księżny na Korsykę.

Tymczasem Antoni Caussade dowiedział się o stosunkach Astiera z Lidyą. Zamek sprzedaje się *zpod młotka* t. j. na licytacyi. Młodzieniec kupuje parę pistoletów, nabija je, i zwraca się do Astiera:

—„A więc, mój kawalerze, walczymy o byt: silniejszy zjada słabszego. Sprzątam cię zatem, ty zbóju!“

—„Przysądzono!“ — woła w głębi sceny notaryusz, uderzając młotkiem, i Astier zabity, pada martwy u nóg Estery.

Jak możecie zmiarkować z tego, autor, pisarz powieści z professyi, spróbował sztuki dramatycznej, i próba mu się nie udała, pomimo wszystkich pochwał, jakie mu oddali przyjaciele i przyjacielska krytyka. Sztuka jest słaba, zgmatwana, rozwlekła. Ni to tragedya, ni komedya. Człowiek tak przebiegły, jak Astier, nie sprowadza do domu kochanek, jak Lidya; ta się znowu truje, nie wiadomo dlaczego, bo się rzecz za kulisami odbywa; Astier, zabierający się do otrucia żony, cofa się w ostatniej chwili — dlaczego? Słowem: powieść napisana na ten temat—mogłaby ujść, jeszcze pod tak biegłem piórem, jak daudetowskie; ale dramat? *Nego*!

Sztuka ta, przedstawiona w teatrze Gymnase, odegrana przez artystów pierwszorzędnych, przyjęta była z oklaskami, co do których wartości i znaczenia niéma się co łudzić, ale można być pewnym, że „Walka“ nie przyczyni się wcale do nadania p. Daudetowi tytułu dramaturga. Ma on zresztą inne zasługi i inną wartość literacką—nie potrzebuje wcale sięgać po nowe a obce mu laury. Temat zresztą fałszywy sam przez się, fałszywie postawiony, rozwiązany słabo, czyni z tej sztuki jeden z tych melodramatów, z któremi, zdawało się, żeśmy ostatecznie skończyli.

Dramat p. Chojeckiego (Charles Edmond)—doznał wcale innego przyjęcia, niż „Walka o byt“. Złożyło się na to wiele przyczyn, a najpierw ta główna, że dzieło jest błahe; następnie, że oś obrotowa tej sztuki oparta została na pomyśle prawie dziecinnym. Wprowadzać na scenę operacyą chirurgiczną „transfuzyi krwi“! P. Chojecki widocznie nie zdał sobie rachunku z tego, że w teatrze, gdzie wszystko jest złudzeniem, wprowadzanie operacyi tego rodzaju dla wywarcia głębokiego wrażenia na widzach, —jest łapaniem starych wróbli na plewy.

Zresztą, sam układ tej sztuki zostawia wiele do życzenia, a styl i język nie odpowiadają wcale wymaganiom szeny Teatru Francuzkiego i publiczności, która wyłącznie stanowi klientelę tego teatru.

Sztuka ta jest to prawdziwy melodramat starego rodzaju. Nazwę sztuki „Drwalowa“ (La Bûcheronne) nosi księżna Croix Saint Luc z powodu, iż ojciec jej zrobił ogromny majątek, handlując drzewem. Księżna zamierza ożenić syna swego Filipa z panną arystokratycznej, ale zruinowanej rodziny: z księżniczką Jadwigą de Musignat. Na nieszczęście syn ten kocha się w ślicznej Anieli, córce leśniczego swej matki, i jest wzajemnie kochanym. Tu wychodzi na scenę posępna postać melodramatyczna, niejaki Sam, podrzutek, urwis, półdziki nicpoń, zakochany również w Anieli, przy której wyrosł w leśniczówce i wykazujący postanowienie bronić swej własności, to jest swojego kochania. Odepchnięty od Anieli, postanawia się zemścić. W III akcie widzimy, jak przynoszą na scenę Filipa, ranionego śmiertelnie na polowaniu, z niewiadomej ręki—niewiadomej dla wszystkich, oprócz Anieli.

Tu następuje scena, na którą tyle liczył autor, kiedy wezwany lekarz ogłasza, że wszelka nadzieja ratunku stracona, chyba, że dokonaną zostanie — transfuzya krwi. Aniela poświęca się śmiało, aby ratować kochanka; uratowała go rzeczywiście, ale zabiła sztukę. Od II już aktu publiczność, zwykle poważna i cicha, publiczność Teatru Francuzkiego i pierwszych przedstawień—zaczynała dawać oznaki zniecierpliwienia i niechęci, ale przy tej dziwnej i śmiesznej operacyi, widzianej zdaleka, cały parter wybuchnął śmiechem i wrzaskiem, i odtąd nie słyszano już prawie, co się działo na scenie do samego końca, który się przewalił wśród wrzasku, świstu i gwałtu, jakiego nie słyszano tu w tym teatrze od niepamiętnych czasów.

Mówiłem, że styl i język te sztuki były jednym z powodów upadku. Nie trzeba tego rozumieć w sposób niewłaściwy. Nie chodzi tu ani o ortografią, ani o składnią, ale chodzi o ten kwiat, o tę woń odrębną, szczególną, która odróżnia stylistów od reszty piszącej rzeszy—a której nigdy prawie nie może przyswoić sobie cudzoziemiec, nietylko we francuzkim, ale w każdym innym języku. Bo tu niedosyć jest pisać poprawnie, to rzecz najmniejsza—trzeba jeszcze myśleć w tym języku i posiadać tego demona, który jest panem poetów i pisarzów o czystym jak dyament stylu.

Teatr Francuzki (La Comédie Française), ma ten przywilej i tę tradycyą, że jest jakby kapłanem strzegącym tego znicza mowy narodowej. W innym teatrze, na innej scenie, gdzie już zresztą była rozpatrywaną dawniej ta sztuka p. Chojeckiego (w Ambigu i Odeonie), dramat ten nie doznałby może tak fatalnego upadku, bo tam wiele rzeczy ujść może; ale w Teatrze Francuzkim trzeba nietylko kwintessencyi talentu, ale i języka. Wyrok ten publiczności potwierdziła cała prasa. Przypomina to jedną z maxym La Rochefoucault'a: „Même dans le malheur de nos meilleurs amis — il ya quelque chose qui ne nous déplait pas“.

Y

Z DZIAŁU PRZYRODY

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Kolej ślizgająca Barre'a. — Badania nad rozwojem roślin (Phaenologia).

Przed dawniejszym już czasem pracował inżenier francuzki Girard nad przeobrażeniem kolei żelaznych, mianowicie starał się zastąpić koła rodzajem płóz, czyli innemi słowy zbliżyć do sań, a to w celu zmniejszenia tarcia. Nieubłagana śmierć stanęła na przeszkodzie w wykonaniu śmiałego dzieła, dopiero teraz, przy pomocy odnalezionych jego planów i opisów udało się innemu inżenierowi, p. Barre, wprowadzić w czyn rozpoczęto dzieło przedwcześnie zmarłego kolegi. Na wystawie paryzkiej na Esplanadzie Inwalidów krążyła już „kolej ślizgająca się“.

Zalety tego systematu są przedewszystkiem te, że wymaga on znacznie mniejszego nakładu siły, skutkiem zmniejszonego tarcia (co pod względem ekonomicznym jest rzeczą bardzo ważną) następnie daje zupełną rękojmią co do niewykolejania się pociągów, oraz zabezpiecza je od innych wypadków, tak często zdarzających się na drogach żelaznych, i wreszcie znosi zupełnie trzęsienie i nieznośny turkot.

Przyjrzyjmy się ogólnikowo: na czem zasadza się budowa tej ślizgającej kolei. Na wstępie zaraz przyznać potrzeba, że systemat ten posiada wszelkie zalety prostoty. Mianowicie na szyny, po których biegną wagony nalewa się nieco wody, która je czyni ślizkiemi. Zamiast kół urządzone są płozy, które skutkiem ślizkości szyn posuwają się na nich przy pomocy bardzo nieznacznej siły i to z nadzwyczajną szybkością.

Zobaczmy teraz jak w grubszych zarysach zbudowaną jest owa płoza stalowa. Nadmienić wypada, że dawniejsze płozy Girarda ustępowały o wiele w doskonałości dzisiejszym, gdyż nabierały ruchu nieregularnego, z przystankami, i skutkiem tego sprawiały trzęsienie wagonu. Płozy Barre'a usuwają tę niedogodność najzupełniej.

Woda do płozy dostaje się ze zbiornika, znajdującego się na przodzie pociągu, za pomocą odpowiednich rurek, i to pod znacznem bardzo ciśnieniem gdzie wywiera silny nacisk na znajdujące się w płozach powietrze, to ostatnie zaś sprawia, że płoza wraz z dźwiganym ciężarem zostaje uniesioną do góry; wówczas woda dostaje się między nią a szynę i tworzy między niemi cieniutką warstewkę, co właśnie znosi prawie w zupełności między niemi tarcie. Rozumie się, że woda spływałaby natychmiast po dostaniu się na szyny; dla zapobieżenia więc temu dolna część płozy zaopatrzoną jest w głębokie kanały połączone z sobą licznemi nacięciami. W zakręty te właśnie wlewa się woda i zanim przepłynie wszystkie, mija tyle czasu, że znajdujący się zapas wody w płozie wystarcza najzupełniej do zwilżenia szyn.

Przekonano się, że między płozą i szyną tworzy się odstęp nie większy nad $\frac{1}{2}$ a najwyżej $\frac{3}{4}$ milimetra, co wystarcza najzupełniej aby woda dostawszy się tam zniosła tarcie w czasie biegu pociągu. Szyny użyte mają postać odwróconej litery U. Płozy zaś posiadają odpowiednie zagięcia zapobiegające wykolejeniu się, a raczej czyniące je poprostu niemożliwem. Budowa tego rodzaju przedstawia wprawdzie tę niedogodność, że płozy mogą biedz jedynie po szynach pod względem kształtu ściśle do nich zastosowanych a następnie, że szyny muszą być zupełnie szczelnie spojone, gdyż inaczej woda będzie się wylewała, a przy zmianach temperatury, rozszerzających i kurczących stal, jest to rzecz bardzo trudna do wykonania.

Wypada jeszcze słów kilka powiedzieć o motorze. Zasadniczą jego część stanowią tak zwane *propulsatory*, a siłą poruszającą jest woda, która w grubych rurach biegnie pod znacznem ciśnieniem, sprowadzonem przy pomocy machin na stacyach. Z rury co kilkadziesiąt kroków z odpowiednio urządzonych kranów uderza woda w turbinę pomieszczoną pod spodem wagonu i tym sposobem wprawia go w ruch. Szybkość zależy od siły uderzenia wody a więc od ciśnienia w rurach. Woda będąca pod ciśnieniem dziesięciu kilogramów nadaje wagonom szybkość dochodzącą do 140 kilometrów na godzinę a więc bieg prawie trzy razy tak prędki, jak przy pociągach dotychczasowych.

Łatwo zrozumieć, jak wielkie dogodności przedstawia nowy systemat. Usuwa on niebezpieczeństwo, przebywa przestrzeń daleko prędzej, znosi wszelkie trzęsienie, dym, kurz i t. p. Jedzie się tak, jak statkiem parowym. Iluż-to migrenom i innym niedomaganiom, tak częstym podczas jazdy koleją żelazną według dzisiejszego systematu, zapobiedz będzie mógł systemat Barre'a!

* * *

Obserwacye nad zależnością rozwoju roślin od ciepła i wilgoci prowadzone były od dawniejszego już czasu we wszystkich krajach ucywilizowanych. Jeżeli rozwój źwierząt wzbudza tak wielkie zajęcie i zbadanem zostało prawie dokładnie, to, bezwątpienia, i rozwój roślinności w rozmaitych miejscowościach przedstawia pod względem naukowym niepodrzędne znaczenie i zasługuje pod wieloma względami, aby obserwacye były ściśle prowadzone. Co prawda, napotyka się na znaczne przeszkody, nauka jednakże w ostatnich czasach starała się, oile możności, je usunąć.

Trudności polegają nietylko na tem, że każdy klimat posiada swą odrębną florę, lecz także i na tem, że w jednem i temsamem miejscu w różnych latach, stosownie do pogody, różnym jest stopień rozwoju roślin,—a czego dokładnym dowodem są lata urodzajne i nieurodzajne.

W przecięciu jednakże rozmaite peryody rozwoju roślin dla jednego i tegosamego miejsca związane są z pewnemi oznaczonemi datami, a gdy je notować w przeciągu całego szeregu lat,

różnice nie będą znaczne. W ogólności wszelkie obserwacye fenologiczne od samego początku ich prowadzenia były oparte na liczbach przeciętnych a otrzymywane dane służyły do sformowania *kalendarza roślinnego*. Prace tego rodzaju sięgają już czasów Karola Linneusza („Philosophia Botanica 1751“) w których uczony ten notował czas kiełkowania, ulistnienia, kwitnienia, dojrzewania owoców i więdnienia w różnych latach po sobie następujących. Dopiero jednakże prace statysty i dyrektora obserwatoryum w Bruxelli Quetelet'a zachęciły szersze koła uczonych do zajęcia się tym przedmiotem, a dzięki jego usiłowaniom na 80 prawie stacyach, rozciągających się od północnych Włoch (Wenecya i Parma, przez południową Francyą (Dijon i Vologines), i przez Niemcy do Anglii, robiono spostrzeżenia nad rozwojem rozmaitych roślin.

Za jego-to inicyatywą wprowadzony został termin „fenologia“ oznaczający naukę o rozwoju roślin w rozmaitych klimatach, i zdołano dla 70 gatunków w ten sposób oznaczyć czas pierwszego ulistnienia, pierwszego kwitnienia, dojrzałości owoców i więdnienia. Obserwacye te prowadzone byty od roku 1841 i zapisywane w pamiętnikach bruxelskiej akademii umiejętności.

* *
*

Prace Quetelel'a znalazły wielu naśladowców Göppert robił spostrzeżenia na Szlązku. Fritsch w Czechach a następnie w innych miejscowościach dał początek badaniom fenelogicznym w Austryi, głównie zaś działał w tym kierunku professor Hoffmann w Giessen, który też rozpowszechnił zamiłowanie tego rodzaju obserwacyi w Niemczech w wysokim stopniu. Prócz tego, że bardzo wiele osób prywatnych zaczęło od roku 1851 zajmować się fenologią, odezwy Hoffmanna i Dr Ihne do botaników wszystkich narodowości rozpowszechniły tę naukę, w Niemczech przy wszystkich obserwatoryach astronomicznych zaczęto od roku 1875 zajmować się stale fenologią, Ponieważ jednakże podobnych miejscowości jest tylko 17 w Niemczech, postanowiono zatem obszerwacye prowadzić także i na stacyach meteorologicznych. Słowem: w roku 1885 było podobnych stacyi obserwacyjnych co do rozwoju roślinności 254, a mianowicie z nich w Wielkiem Księztwie Badeńskiem 10 w Brunszwiku, 20 w Alzacyi i Lotaryngii 35 w W. Księztwie Hessen-Darmsztadzkiem, 101 w Prussiech Zachodnich, 32 w Turyngii i 34 w Wirtembergii. Proffessor Hoffmann z D-rem Ihne wydali odpowiednią instrukcyą, jak mają być obserwacye prowadzone.

Rezultaty mają być w niedługim czasie już zebrane i posłużą do sformowania kalendarza roślinnego. Professor Hoffmann zestawił zupełnie już wystarczający kalendarz dla Giessen. Obecnie czas oznaczony w kalendarzu daje skalę do prowadzenia obserwacyi w innych miejscowościach. Skutkiem powstania kalendarzy roślinnych dla różnych miejscowości na ziemi można będzie obserwacye fenologiczne oznaczać na mappach, a to mianowicie, łącząc te miejscowości za pośrednictwem linii krzywych, w których pewien rozwój roślin odbywa się jednocześnie. W ten sposób powstałe krzywizny nazwał Hoffmann *Isophanami* i nawet nakreślił już odpowiednią mapę dla Europy środkowej odnośnie do jej flory wiosennej, (*Petermann's geograph. Mittheilungen 1881*).

Na mapie tej z łatwością zoryentować się oile dni wcześniej lub później następuje rozbudzenie się wiosny w miejscowościach odległych od Giessen. Wegetacya najwcześniejszą jest w górnych Włoszech, mianowicie nad jeziorami (o 25 dni), najpóźniejszą zaś w dolinach górnych Alp (Vevers 52, Heiligenblut 41 dni) nawet Prussy Wschodnie nie różnią się bardzo od tych ostatnich miejscowości. Następnie można będzie także notować rozwój pojedynczych roślin, jak to dr Ihne uczynił z bzem hiszpańskim, Hoffmann z gruszą i jabłonią a także z żytem, dla których mapograficznie oznaczone są kwitnienie, dojrzewanie i żniwo.

Jeżeli poszukiwania te, wykazujące np. że kwitnienie bzu, postępując ku północy, opóźnia się stopniowo o trzy dni, a także i w miarę podnoszenia się nad powierzchnią morza, są pewnej doniosłości, to daleko ważniejszemi pod tym względem będą badania dotyczące zmian pogody a mianowicie co do temperatury i wilgotności. Ciepło, które uważane jest za główny czynnik w rozwoju roślinności, wywiera wpływ niejednakowy na powierzchni kuli ziemskiej. W strefie gorącej, gdzie fluktuacye roczne temperatury są znacznie mniejsze, niż w innych klimatach, rozdziela się rok na porę gorącą i wilgotną. Tam cała wegetacya roślinna odbywa się w porze wilgotnej, ma to np. miejsce na stepach Ameryki południowej, gdzie czas gorący, ale suchy, jest czasem wypoczynku ziemi. Tu główny rozwój roślin zależnym jest od wilgotności, a nie od ciepła. Zresztą według obserwacyi Dove'go zmiany w temperaturze i wilgotności stanowiące wielkie zboczenia od klimatu zwykłego, rozciągają się zazwyczaj na większe przestrzenie. Uczony ten jako przykład przytacza rok 1834, w którym w Styczniu, nietylko we Francyi południowej drzewa migdałowe kwitnęły, ale także w Paryżu i Tryeście drzewa morwowe pokryły się już kwieciem

Pod Tryestem znajdowano dojrzałe poziomki a w Sztutgardzie dojrzały brzoskwinie i wiśnie. W Czechach około Lutomierzyc, kwitnęły brzoskwinie, morele, porzeczki w pierwszych dniach Kwietnia, a w końcu Maja dojrzały wiśnie. W środku Maja w wielu miejscach Wirtembergii zakwitła winna latorośl a w pierwszej połowie Czerwca wszystko już kwitło. W Sierpniu, w wielu okolicach Niemiec, nawet w Prusiech Wschodnich spotykano powtórnie kwitnące jabłonie i inne drzewa owocowe, we Wrześniu zaś w Niemczech Południowych kwitła poraz wtóry winna latorośl i t. p.

* *
*

Jakkolwiek powyższe dane wykazują, że skutkiem ciepła, które panowało w Grudniu i Styczniu roku 1834, tak wcześnie rozpoczęła się wegetacya, i że zależność ta jest oddawna wiadomą, pomimo to przyznać potrzeba że postawienie w tym względzie prawidła, jest rzeczą wcale niełatwą. Przynajmniej czynione w tym względzie próby nie wydały dodatniego rezultatu. Najdawniejsze świadectwa naukowe twierdzą, że oznaczoną być musi średnia temperatura dnia w krzywiźnie rocznej, aby osiągnąć średnią liczbę czasu rozwoju roślin. Później robiono inne hypotezy. Według jednak obserwacyi Linssera, który prowadził badania w strefach północnych (Moskwa, Polkowa, Petersburg) — żadna z tych hypotez nie wytrzymuje krytyki.

Hoffmann starał się rozwój roślin w zależności od temperatury w następujący sposób określić: mianowicie średnia summa maxymalnych temperatur na termometrze wystawionym na działanie słońca od 1 Stycznia do chwili pewnego oznaczonego peryodu rozwoju rośliny, ma oznaczać *stałą wegetacyjną ciepłotę* obserwowanej rośliny.

Czyniono w tym względzie wiele bardzo obserwacyi; wszystkie one jednakże nie pozwalają jeszcze wyprowadzić stanowczego wniosku co do wpływu temperatury na wegetacyą. Tosamo można powiedzieć i o wilgotności.

Byłoby bardzo do życzenia, aby i u nas pod tym względem rozpoczęto badania, które wzbudzają żywe zajęcie pod względem naukowym, a i w praktycznem życiu oddałyby z pewnością wielkie korzyści.

Tymczasem kierować się można, danemi jakie podaje Hoffmann.

Dr. J. Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Na miejsce ś. p. hr. Hortensyi Małachowskiej przewodniczącej filantropijnie pracowni kobiecej, zwanej „Zakładem Ś-tej Marty“, obraną została ks. Swiatopełk Czertwetyńska. Nazwa zakładu uległa też zmianie pewnej i obecnie brzmi: „Zakład pracy kobiet Ś-ty Marty.

— Z zapisu ś. p. Tekli Swiergockiej otrzymało sześć wdów po zegarmistrzach po rs. 73. Z zapisu Maryanny Taube przyznano dwa wsparcia po rs. 75 niezamożnym osobom wyznania ewangelicko-augsburskiego.

— Dom szwalni dziewcząt ubogich przy ulicy Starej, został poświęcony d. 10 Grudnia.

— Między wakującemi stypendyami z zapisów prywatnych, przypadającemi na bieżący rok szkolny, znajdują się zapisy: Ś. p. Judyty Jakubowicz rs. 75 dla uczniów płci obojej, z pierwszeństwem dla krewnych testatorki; Ś. p. Amelii Ciołkowskiej w ilości 150 rs. dla potomków rodziny: Natalii Marchockiej, Jana Żabickiego, Jana Naprzeckiego, Ignacego i Julii Rojewskich, Emilii Niewiarowskiej, Felixa Bielawskiego, Kajetana Marcinkowskiego, Ignacego Nowosielskiego i Henryka Ciołkowskiego. Ś. p. Józefaty Tokarskiej dwa stypendya po rs. 750 rocznie dla uczniów szkół średnich i wyższych warszawskiego okręgu naukowego, krewnych testatorki w porządku następującym: 1) ze zstępnej i bocznej linii ojca testatorki, Grzegorza Wyrzykowskiego, 2) ze zstępnej i bocznej linii matki testatorki, z domu Modzelewskiej 3) ze zstępnej linii dwóch siostr męża testatorki, z Tokarskich: Franciszki Egidyuszowej Borzuchowskiej i Barbary Franciszkowej Zdziarskiej.

— D. 4 Grudnia r. bieżącego rozdano w Piotrkowie z funduszu składanego corocznie do rąk adw. Młodowskiego w kwocie rs. 90 nagrody siedmiu kandydatkom, zasłużonym przez długoletnią, uczciwą służbę w jednej rodzinie. Największą nagrodę otrzymała kandydatka, służąca w jednym i tym samym domu lat 30; inne przedstawiły dowody pracy u jednego ogniska rodzinnego po lat: 13, 10, 9 i mniej, aż do lat 6-ciu.

— Na poruszoną przez „Kuryer Warszawski“ kwestyę założenia w Warszawie fabryki ozdobnych podkładów do bukietów, odpowiedział bezimiennie „Ogrodnik“ dowodząc, że przedsiębierstwo to nie jest bynajmniej potrzebnem, gdyż podkładek wspomnianych nie sprowadza się wcale z zagranicy, ale wyrabiają je na miejscu pp. Wolska, Bardetówna, Diehlówna, Cweigebaumowa może inne jeszcze, nieznane piszącemu osoby. Każda z wyrabiających wykonywa tę pracę swoję dla jednego z tutejszych zakładów ogrodniczych, co sprawia, że fabryka wspomniana nie mogłaby liczyć na zbyt, ani nawet na wywóz do cesarstwa, jak to było w owym artykule wspomniane, a to z powodu istniejących już w liczbie dostatecznej zakładów tamtejszych. Jeden zpomiędzy nich, fabryka Volmera, staje nawet do konkurrencyi z pracą warszawską, utrzymując w Warszawie stałego ajenta swego. W Warszawie zajmuje się jeszcze wyrobem podkładek takich p. Koprowska, znana z wystaw ogrodniczych, ale to jest już tylko praca amatorska na własny użytek.

— W Radomiu otwartym zostanie w czasie najbliższym sklep dla pracy kobiecej, z założeniem takiem, jak nasz „Warszawski Bazar pracy kobiecej“ przy ulicy Wierzbowej. Kwestyą tę, jak to już wiedzą czytelnicy nasi, poruszyła poczciwie „Gazeta Radomska“.

— Pożyteczny zwrot do praktycznych zajęć kobiety w zakresie gospodarstwa domowego objawia się w naszych zawodowych szkołach dziewcząt. W zakładzie takim p. Haliny Tokarzewskiej (Szkolna Nr 8) odbywają się, jak wiemy, od miesięcy kilku zbiorowe lekcye gotowania w po-

łączeniu z potrzebnem tu niezbędnie poznaniem się na gatunkach i wartości przedmiotów spożywczych. Obok tego uczennice pobierają lekcye kroju i roboty kapeluszy od wybornej. pierwszorzędnej nauczycielki, a jest to w ekonomii domowej rzeczą wagi niemałej, aby ta gałąź pracy rozpowszechniła się w rodzinach, bo prowadzi ona za sobą oszczędności bardzo znaczne. Przytem kobieta, która sama na ubiór swój pracuje, bardzo rzadko jest strojnicą i elegantką zbytkującą. Praca daje powagę myśli i pocieszającem jest fakt takiego zwrotu w kierunku zawodowego nauczania kobiety. Szkoła p. Tokarzewskiej uczy niemniej i rzemiósł najwykwitniejszych w zakresie sztuki stosowanej do przemysłu oraz robót wytwornych; koronek, wypukłych haftów kolorowych.

— Pani Lisowska z Mołowid, w powiecie nowogrodzkim, doszedłszy do przekonania, że gospodarstwo rolne mniej się opłaca, wszystkie orne grunta włości swojej zamieniła na łąki. Z inwentarza hoduje tylko liczną stadninę, i dla tej nawet kupuje owies. Do wzorowych gospodyń w okolicy tamtejszej należy p. Alina Rejtanowa. która przecież oddaje się zwykłemu gospodarstwu kobiecemu: hodowli drobiu, co dzisiaj uważać można za przedsiębierstwo zyskowne przy pokupie jaj nawywóz. Niedawno agent hamburski, Stemmer, objeżdżał strony lubelskie, łomżyńskie, grodzieńskie i wołyńskie, zawierając kontrakty na dostawę jaj, których wagony całe idą do Hamburga. Pierwsza wysyłka tegoroczna, była oszacowana na 35.000 rs., ale starać się trzeba o gatunki dobre, o dobre przechowanie towaru, aby utrzymał się w świeżości należytej, bo agenci zagraniczni mogą nas pominąć, jak to już nam grozić zaczyna. Ogrodownictwo: produkcya warzywa i owoców, ma też, jako gałąź gospodarstwa domowego, widoki na wywóz. Z Kowieńskiego wyprawiono już tej jesieni znaczne partye tego towaru w okolice dalej posunięte na północ i przedstawiać to może niezawodne źródło dochodu, byle dowóz zagraniczny nie stanął nam wpoprzek. *Gazeta Kielecka* zwraca na to uwagę kogo należy, aby gospodynie wiejskie, zwłaszcza włościanki, hodowały gęsi i inne gatunki drobiu w odmianach poprawnych, co nietylko podniesie ceny, ale zapewni nam zbyt stały. Obecnie w okolicach przyległych do Prus płacą za gęś od rs. 1 do rs. 1 k. 20, możnaby przecież otrzymać więcej i zapewnić sobie zbyt stały, hodując wyłącznie tylko gatunki uszlachetnione.

— Stowarzyszenie wzajemnej pomocy, zawiązało się między Rzymiankami z celem wpływu i oddziaływań korzystnych na rozwój pracy kobiecej we wszystkich warstwach społecznych.

Stowarzyszenie to, wystąpiło, mając na czele swojem Adelę Fanella, kobietę poważną, używająca wśród społeczeństwa swego opinii osobistości zacnej i rozumnej, licząc przecież tylko czterdzieści stowarzyszonych, które zgromadziły się d. 1-go Listopada. Zebranie zagaiła przewodnicząca mową piękną, natchnioną gorącą miłością dla Włoch i idei, która prowadzić je powinna przez dzieje nowożytne. Kobieta ma tu swój dział pracy i obowiązków tak rodzinnych, jak społecznych. Rzymowi nie brakło nigdy kobiet szlachetnych; po wszystkie czasy i epoki historyczne umiały one, obok cnot domowych, spełniać cnoty obywatelskie, umiały poczuwać się do obowiązku, ciążącego na nich w obu tych zakresach—do obowiązku poświęcania się na korzyść dobra ogółu. Z kolei przemawiała Emanuella Fiorentini; uzupełniając mowę przewodniczącej, wytłomaczyło, że stowarzyszenie nie ma i może, nie powinno mieć żadnych socyalnych lub politycznych barw i odróżnień. Celem jego jest danie pracy, potrzebującej tego robotnicy, oraz pomoc, wspierająca tak matki aby każda mogła sama karmić swe dziecko, (co jest naturalnym obowiązkiem kobiety), wyposażająca dziewczęta ubogie, idące za ubogiego — pomoc wzajemna, nietylko w kierunku materyalnym, którąby kobiety dawały sobie w uczuciu serdecznej życzliwości: pomoc, której potrzebuje zarówno bogata i uboga, jeżeli to będą węzły miłości siostrzanej, przyjaźni, łączącej serca ich wzajemnie, jako córek jednej matki — ojczyzny włoskiej. Signora Catalano przemawiała z kolei, wykazując, jaką jest siła zjednoczenia i jako przykład przedstawiała obraz zasługi, jakie siostry stowarzyszone i współpracownice Złotego Krzyża (Croce d'Oro), oddały rodzinom ubogim i samotnym, opuszczonym ludziom, odwiedzając ich i wspomagając chorych, oraz nieszczęśliwym wypadkom uległe osoby, których liczba była razem w przeciągu roku 460.

Głosy, które się tu odzywały, idąc z serc szły też do serc i wzruszyć je umiały: na drugiem już zebraniu, w cztery dni potem, sala była pełna, a współudział zebranych kobiet bardzo żywy, jak tego dowodziły ich przemówienia. Statut stowarzyszenia został też ułożonym nazwa jego obraną, a tu rzecz wyszła od kobiety z ludu, Trastaweranki. Na wniesione przez nią żądanie, stowarzyszenie przyjęło za patronkę swą Adelaidę Cairoli, matkę bohatera: „jedna z największych matek włoskich, która pokazała kobietom swego narodu, jak się poświęca najdroższe swe miłości dla świętego i wzniosłego ideału.“ Tak umotywowanym został w Statucie fakt, że zowie się ono: „Towarzystwem Adelaidy Cairoli.“

— Do najpożyteczniejszych zakładów włoskich dla kobiet, zaliczają szkołę handlową dla kobiet w Rzymie, która w przeciągu lat czterech uzdolnia uczennice swoje do prowadzenia przedsiębierstw handlowych i wyucza języków obcych doskonale. Dotychczas język angielski. nauczany był przez całe lat cztery i uczennice wychodzące ze szkoły mówiły bardzo dobrze, przecież obecnie zarząd szkoły uznał, że język francuzki, którego nauka miała sobie wyznaczony czas jedynie lat dwóch, powinien zająć miejsce angielskiego z powodu, że jest on najbardziej używanym w całej Europie i mimo wszelkich zmian, jakim uległa Francya, jest zawsze językiem panującym, który rozumieją niemal bez wyjątku wszyscy wykształceni ludzie całego świata. Zatem wszystkie szkoły handlowe uczyć go powinny.

Wskutek niedopuszczenia przez rząd belgijski do adwokatuy Maryi Popelin, uniwersytety belgijskie zamknęły kobietom przystęp do studyów prawa. Na innych fakultetach uczy się obecnie dwadzieścia jeden kobiet: na wydziale przyrodniczym siedm, na wydziale medycznym trzy, na wydziale farmaceutycznym (tak) dziesięć, filozofia ma słuchaczkę jednę.

— Francuzka akademia przyznała kobietom dorocznych nagród cnoty Montyona pięć, a pomiędzy nagrodzonemi jest Murzynka, która nie chciała opuścić państwa swoich, doprowadzonych przez zmianę losu do nędzy; inna z laureatek, Marya Broguin, oddała cały posiadany majątek biednym. Zwrócono przytem we Francyi uwagę na fakt, że dotychczas prawie wszystkie z kobiet, otrzymujących nagrody cnoty były silnie nabożne i dobre chrześcijanki.

Zeszyt k. 25. Pocztą 32. | TANIE WYDANIE | Zeszyt k. 25. Pocztą 32.

Wyszły z druku **zeszyty 18-ty, 19-ty i 20-ty** dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

STAREGO i NOWEGO TESTAMENTU

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycya ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najsławniejszego francuzkiego illustratora

GUSTAWA DORÉ

przekład X. JAKÓBA WUJKA,

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.

Wydanie nowe z objaśnieniami, zatwierdzone przez Konsystorz Archidyecezyi Warszawskiej.

Każdy zeszyt zawiera 3—4 arkuszy druku oraz 3 lub 4 wielkie ryciny oddzielnie na grubym illustracyjnym papierze odbite; zeszyty wychodzą w przerwach 10 — 12 dniowych; zeszytów będzie 60.

WARUNKI PRENUMERATY:

Żadne zaliczenie nie jest wymaganem; — zapisujący się płaci 25 kopiejek przy odbiorze zeszytu. Za podaniem adresu księgarnia wydawcy M. Glücksberga przy ulicy Królewskiej Nr. 5 przesyła zeszyty do domu.

Z przesyłką pocztą liczy się zeszyt kop. 32, prenumeratę z prowincyi nadsyłać można częściowo, lecz naraz najmniej na 5 zeszytów, czyli rs. 1 kop. 60, gdyż na prowincyą naraz po 5 zeszytów expedyować się będzie.

Nadsyłający z prowincyi odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop. 20, jakto przy częściowej opłacie wypada.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Michał Glücksberg,

Księgarz-Wydawca, ulica Królewska N. 5.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall.

TREŚĆ: Uspokojony, (z Tennysona) (wiersz). — Aloizy Żółkowski. — Adjutant króla jegomości opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński. — Nowiny Paryzkie. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. J. Starkmana —Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: Nauczycielka, przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 29 Ноября 1889 года.